

RECENZJE

Anna Rau

CREDO podczas rekolekcji

Mój dom w zaświatach będzie miał czworo drzwi. W zależności od tego, którymi drzwiami wyjdę - w taki krajobraz wejdę. Będą Wrota Na Ogród, a za nimi wrześnie słońeczne, leniwe popołudnie, i albo rzucę się w szal pielienia - albo na hak. Będą Wrota Na Morze - i tam od razu wejście w Niebieską Kontemplację. Będą Wrota Na Łąki - z nieustającym wschodem słońca i rosą na trawie. I będą Wrota Na... ale to już niech zostanie milczeniem. Jedno jest pewne - wszędzie będzie ciepło. I tyle wiem. Dzięki "Wszystko jest" wiem też, jakie Wrota w zaświatach będzie otwierał Maciej Malicki. Pisarz niedawno przyznał się (wg wywiadu w "Lampie" 2005 nr 11) do opisanie w ten sposób wyteńskionego miejsca swojej wyobraźni - punktu geograficznego, gromadzącego wszystkie "jego bliskości" - te ludzkie, zwierzęce, zjawiskowe i życzeniowe. I nie jest to bynajmniej miejsce tak ascetycznie puste i jednorodne jak "moje", lecz prawdziwy mikrokosmos! Jednocześnie ów wszechświat cechuje przede wszystkim niemal metafizyczna czystość, choć są w nim i choroby, i starość, i śmierć, i ból, i wulgarność. Na czym może polegać fenomen i specyfika tej czystości? Czy na kompletnym braku niepotrzebnego stosunku emocjonalnego do zjawisk i zdarzeń? To byłaby niewinność spojrzenia dziecka albo... bardzo starego człowieka, który już nie ocenia, ale wie, i JEST, tak jak wszystko jest - ważne, celowe, przemijające. Wszystko Jest...

W tym miejscu niemal czuję wewnętrzny przymus, aby pokusić się o nawiązanie do przebogatej biografii pisarza - jego doświadczenie życiowe zaprawdę jest wielkie, a powieść stanowi tego odbicie. Malicki ma obecnie ścisły związek z ambitną "Literaturą na Świecie", wcześniej zaś czasowo był i ogrodnikiem, i recenzentem fińskiego magazynu jazzowego, jak również witrażystą, grafiką i wydawcą. Prócz tego oczywiście mężem i ojcem. W

jego życiu również Wszystko Jest. Mam nadzieję, że sam Malicki nie śmiałyby się z mojego dopisywania do (co tu kryć - kolejnej) powieści - filozofii "swoistego duchowego testamentu". Wszystko przez ów literacki szablon zamknięcia kolejnego rozdziału życia długimi, samotnymi z wyboru "rekolekcjami", emigracją wewnętrzną do wymyślnego świata, ograniczonego z jednej strony Górami a z drugiej Morzem Bez Nazwy. Odczytałam ten testament "człowieka starego" - mądrego, wyważonego i mimo wszystkiego spokojnego niby zdyscyplinowany zakonnik, pociągająco-przyciągającego dzięki swej "normalności" (papierosy, kawa i te sprawy, plus nieskrywane uczucie do Psa oraz zdrowe upodobanie do dobrej kuchni. No i ta wspólnota uczuć do zup!). Ten dziennik duchowy to ciepła intymność bez krępującego obnażenia. Bliskość bez poufałości. A do tego Malicki nie ukrywa swojej wszechwiedzy, odrębności, niezawisłości w "tym" świecie, nieskończonej władzy Kreatora. Jest monarchą absolutnym, bogiem osobistego mikrowśzechświata. Tak jak stworzył i określił jego granice oraz sposób funkcjonowania, obdarzył go też swoistym typem komunikacji, językiem, który znamy i którym się posługujemy, a którego wyparlibyśmy się. Sposób narracji powieści podkreśla bowiem znaną a nieuświadomioną prawdę, iż tak naprawdę na co dzień porozumiewamy się kontekstami, czyli urywkami zdań. Oczywiście dotyczy to osób sobie znanych, bliskich i przede wszystkim inteligentnych - ale to już inna sprawa.

Dlaczego Biblia została uznana za Książkę Wszechczasów? Bo uwiaryliło w nią dwie trzecie ludzkości, a pozostała jedna trzecia z nią do dziś polemizuje. I to się nazywa popularność, moc i iskra natchnienia! - gdyż co jest warunkiem geniuszu konkretnej książki, istotą bytu literatury? Wiara czytelnika. Książka zaczyna być dobrym kawałkiem rzemiosła, gdy podczas lektury

nieświadomie, a niemal namacalnie, wchodzimy w świat przedstawiony...

Bez trudu uwierzyłam w miejsce, gdzie sąsiadują morze i góry jednocześnie, gdzie są domy i pola jak na równinie, i pełno torów kolejowych, prowadzących wszędzie. Gdzie zapach ma władzę i siłę profety. Gdzie Wszystko Jest... Przyswoiłam od pierwszej kartki tę Dolinę Zwyczajnych Dziwaków: Bardzo Złego, który używa wulgaryzmów-przecinków, i to wcale nie jest wulgarnie - ale swoiste. Staruszkę z półpaścem. I Sąsiadkę, Żywą Lunetę Życia Codziennego. Kotkę Burkę (nie od okrycia, ale od żeńskiej formy imienia Burek). Córki głównego bohatera - tylko na telefon i ewentualnie jako pogotowie zupowe (ale też na telefon). Janka, który sepleni i w życiu i na papierze. Psa ze swoim nieodłącznym kocykiem... Ach, o Psie trzeba więcej! Stanowi on nie tylko rzeczywiście wzruszającą niemal-osobowość, ale jest również stereotypem zwierzęcia, jakiego "każdy z nas chciałby mieć", a do tego symbolem dobrowolnego wygnania głównego bohatera, i

(w końcu) dowodem świetnego pióra Malickiego. Opis śmierci zwierzęcia to realnie przejmujący krzyk literacki. A ten kawałek o Początku i Przyczynie Końca!...

Dzięki Malickiemu być może zrozumiałam wreszcie, jakimi kategoriami kieruje się jury literackiej Nagrody Nobla. Zwycięstwa nie należy kodyfikować według kontekstu "znane", czy nawet "uznane", i nie "piękne", ani nawet "dobre". Jeśli dzieło jest do bólu prawdziwe, ale i bulwersujące, czy brzydki, wtedy kwalifikuje się do nagrody - i zwycięża. Powieść Malickiego jest prawdziwa - i bez jakichkolwiek konotacji do obrzydzenia! - raczej czuć w tym styl i harmonię. Autor podobno zadeklarował, iż "Wszystko jest" to jego ostatnia książka. Nie chcę, żeby ostatnia!!! I nie wierzę, że ta historia to "tylko" literatura! Chcę, żeby to była prawda! Wierzę...

Anna Rau

Maciej Malicki
Wszystko jest
Wyd. Czarne, Wołowiec 2005.

RECENZJE

Miłosz Babecki

Niesmaczny, nagi realizm

Według słownika internetowego przedrostek porno zdefiniowany został jako jedna z płaszczyzn ludzkiej aktywności znajdująca swoją realizację w pisaniu opowiadań, fotografovaniu, czy też kręceniu filmów o tematyce nie erotycznej (ta przecież od porno się odcina), lecz obnażającej bez skrępowania nagość. Tę, którą potem prezentuje się z zamiarem wywołania u odbiorcy pożądania. Dziś termin budzi inne jeszcze skojarzenia, wiążąc się z całym biznesem, którego istotą jest sprzedawanie wizerunku kobiet i mężczyzn już nie tylko nagich (to jako statyczne nie pociąga i wręcz nudzi), oddających się pozorowanym rozkoszom sówicie opłacanym przez producentów i całe kompanie.

Porno zatem ma jeden cel. Jest nim wywołanie i podtrzymywanie seksualnego stanu gotowości.

Porno podobnie jednak do wielu innych znaczeń wywołujących w świadomości określone skojarzenia, można wyprać, wyzyskać z tradycyjnego kontekstu, tworząc nowy, czasem nieoczekiwany. Zakreślając krąg znaczeniowy terminu porno warto na krótką chwilę zastanowić się do jakich odsyła skojarzeń. Niewątpliwie to, co porno, nie jest jawnie dostępne. Zyskało status powszechności, skrzętnie się ją jednak ukrywa, a przynajmniej takie próby podejmuje. Porno jest wobec tego w pewnym sensie offowe. Każdy zdaje sobie sprawę z jego istnienia, zna sposoby na

pozyskanie określonych publikatorów. Ogólnie jednak przyjęty kanon zachowań każe milczeć o tym, co porno jest lub za takie może być uznane. Wreszcie porno jest nieodłącznie związane z tym, co nie-porno. To jakby podszewka, spodnia warstwa świata. Obiektywnie jednak istniejąca. Naga, odzierająca z tajemnicy, symboliki, prezentująca bez ogródek określoną rzeczywistość, która znajduje swoje źródło w równie określonym miejscu i czasie, często tu i teraz.

Gdyby postarać się pozabawić termin jego pierwotnego znaczenia, można by zaryzykować twierdzenie, że porno jest tym, co realne, pokazane bez skrępowania, bez blichtru, osładzania i kolorowania. Stąd już blisko do innej przestrzeni i innej aktywności człowieka, której istotą będzie coraz częściej nie kreowanie, lecz odtwarzanie, obrazowanie, transmitowanie. Ową przestrzenią jest dramat współczesny. Nie ten jednak powszechnie funkcjonujący w świadomości i budzący łatwe do przewidzenia skojarzenia, lecz również w pewnym stopniu offowy. Uznano go bowiem za niesmaczny, nieoficjalny, nieokrzesany, brutalny, wulgarny.

Wulgarność i dosłowność teatru niewspółczesnego, tylko najwspółcześniejszego wypływa z bezpośredniego kontaktu z obiektywnie istniejącą rzeczywistością, przybierającą często postać kryzysowej. Jako taka epatuje przecież obrazami zbrodni, cierpienia często bezsensownego, pozbawionego przyczyny, zaś zawsze z tragicznym skutkiem.

Powyższe refleksje wywołało ukazanie się na rynku wydawniczym drugiego wydania "Pokolenia porno i innych niesmacznych utworów teatralnych. Antologii najnowszego dramatu polskiego". Wyboru tekstów dokonał Roman Pawłowski, krytyk teatralny i dziennikarz.

Pawłowski prezentując czytelnikowi-odbiorcy wybór sztuk, zwraca uwagę na paradoks. Okazuje się przecież, że materia, którą prezentuje, nie istnieje. Oficjalnie jej nie ma. Nie ma przecież nowej polskiej dramaturgii. Ta cierpi kryzys, umiera - to zdanie polskiej krytyki teatralnej, zajętej tropieniem, na polskich scenach, śladów wiecznie żywego Mickiewicza, Słowackiego, Szekspira, Moliere.

Środowisko polskich krytyków teatralnych nie dostrzegło zmian w tematyce podejmowanej przez młodych, nowych w obiegu, dramaturgów, którzy pojawili się w przestrzeni dramatyczno-teatralnej po 1989 roku, a obecnie prak-

tycznie wyznaczają standardy i wygrywiają ogólnopolskie konkursy służące wyłonieniu najlepszej polskiej sztuki współczesnej. Biorąc pod uwagę ten aspekt, rzeczywiście uzasadnionym i potwierdzonym praktyką sceniczną jest określenie najnowszej rodzimej dramaturgii terminem porno, zaś kształtujących ją artystów słowa pisanego mianem pokolenia porno. Rzeczywiście działają niejako w podziemiu, nie są dostrzegani lub dostrzegani są incydentalnie. Funkcjonują dzięki wykorzystywanym w praktyce umiejętnościom, dalekim od wykształcenia aktorskiego lub dramatopisarskiego. Są architektami, ekonomistami, często posiadają własne firmy. Nie godzą się jednak z zastaną rzeczywistością, a wyraz swemu niezadowoleniu, buntowi dają pisząc dramaty. Te z kolei uznaje Roman Pawłowski, trochę ironicznie i przewrotnie, ponownie odwołując się do opinii środowiska krytyków, za niesmaczne. Dzieje się tak dlatego ponieważ przyjęta "forma teatralna nosi cechy rzeczywistości, którą próbuje opisać: jest poszarpana, gorączkowa, często niespójna i nielogiczna. Groteska łączy się w nich z tragedią, akcenty komiczne z przerażającymi obrazami zła, liryka z brutalnym językiem". Cytowany przez Pawłowskiego Lupa przyczyn portretowania rzeczywistości upatruje natomiast w tragicznej sytuacji egzystencjalnej: "świat przestał być dla człowieka przytulnym gniazdem. Młodzi ludzie stają wobec rzeczywistości, która ich przeraża, spotworniała, obcej, a takie są doświadczenia młodych twórców, szukających nowych wyrazów". Okazuje się, że na plan dalszy zeszyły problemy polityczne. Dziś polityka mało kogo interesuje. To machina, niczym perpetuum mobile, napędzająca samą siebie. Nie ma wobec tego w Antologii "polityków i posłów nadużywających immunitetu, nie ma przechrzczonych komunistów ani prawicowych ksenofobów. Na nadmiar polityki w życiu codziennym dramaturdzy reagują odwracając się od polityków plecami". Miejsce decydentów zajmują inne postaci, medialne czarne charaktery. "Reporterzy telewizyjni, cyniczni, pozbawieni skrupułów, którzy gonią za sensacją, kreują pseudow wydarzenia i pozostają całkowicie obojętni na ludzką krzywdę i cierpienie".

Zepsuci, wewnątrznie puści bohaterowie, opływający w luksusy, szukają coraz to nowych podniet seksualnych, chemicznych, czy emocjonalnych odwołujących

się do najgłębiej skrywanych instynktów. Zabijają, by zaspokoić ambicje i zrealizować marzenia o telewizyjnej sławie. Są też w Antologii ludzie pozostający z dala od zgiełku show biznesu. Oni prowadzą ze światem własną wojnę. Jej istotą jest wyrównanie rachunków z tymi, którzy dla rozrywki pozbawili życia ich najbliższych. Jakże częste obrazy znane z ekranów wszelkich "Wydarzeń" i "Faktów". Pijani nastolatki dla zabawy podpalają bezdomnego, kijami katują spacerujących w parku ludzi. Pozbawiają życia, by sprawić prezent koledze obchodzącemu właśnie urodziny.

Rzeczywiście, realizm może być niesmaczny, pozbawia przecież złudzeń, zmusza do myślenia, pozwala postawić współczesnemu społeczeństwu diagnozę. Kataloguje nową jednostkę chorobową, niestety, nie informuje o sposobach leczenia. Tych jeszcze nie wymyślono, nie trwają nawet badania nad lekiem.

Krytyków teatralnych nie obchodzi przecież pojedyncze ludzkie tragedie, tragedie niedotykające całych społeczeństw, niepozostających w sytuacji dziejowego przełomu. Biorąc pod uwagę te aspekty, rzeczywiście "Pokolenie porno i inne niesmaczne utwory teatralne" nie istnieją. Nie są liryczne, za to odarte z metaforyki i wizyjności, w spartej patetyczną symboliką tak kochaną przez sceny wielu teatrów. Dlatego też refleksje dramaturgów, których teksty omawiany zbiór tworzą, wciąż jako teksty funkcjonują. To z kolei pozwala na formułowanie zarzutów wspieranych niektórymi teoriami dzieł teatralnych, wskazujących na fakt, iż tekst pozbawiony jest wyrazu, że musi odnaleźć sceniczne spełnienie, że tylko ono zapewnia mu trwanie w świadomości. Uważam jednak podobne twierdzenia za bezzasadne w przypadku dramatów Krzysztofa Bizio, Pawła Jurka, Jana Klaty, Marka Modzelewskiego, Marka Pruchniewskiego, Pawła Sali, Andrzeja Saramonowicza, Ingmara Villqista, Michała Walczaka czy Przemysława Wojcieszka.

Ich praca, ich sposób postrzegania tego, czego wszyscy jesteśmy świadkami na codzień, odkłamuje rzeczywistość serwowaną nam w kilkudziesięciosekundowych newsach z towarzyszącym głosem z offu. Okazuje się, że nawet największe tragedie i obrazy cierpienia można pozbawić ich znaczenia, upowszechnić, odrzec z tragicznej głębi. Próbuje się je bowiem poddać (i w rezultacie

czyni to) obróbce. Nagrywa duple z miejsc śmiertelnych wypadków drogowych, czy sprzed ruin blokowiska, które właśnie zawałiło się wskutek wybuchu gazu. Można przecież dzięki temu zaistnieć w świadomości widza i jego pamięci wizualnej. To zaś bezpośrednio wiąże się z wyceną wizerunku dziennikarza i sumami podpisywanych kontraktów. Dramaty wybrane przez Romana Pawłowskiego nie giną w świadomości odbiorcy, nie ulatują z niej. Nie cierpią też z powodu braku scenicznej wizualizacji. Są bowiem czytelnym komunikatem tekstowym, o wiele bogatszym odwzorowaniem tego, co mimo istnienia wirtualnej trójwymiarowej przestrzeni, spłaszczono, spłycono, sprowadzono do postaci krótkiego filmu pojawiającego się w paśmie największej oglądalności, równie hucznie określanym jako prime time.

Wspomniane utwory są tak sugestywne i dotyczą tak aktualnych wydarzeń, że obcowanie z nimi nie wymaga pośpiesznej inscenizacji. Tekst daje bowiem możliwość powrotu, przemyśleń, odkrycia znaczeń niedostępnych w pierwszym kontakcie, czytaniu. Obraz, niewątpliwie, ważny element, blednie, traci barwy i wyrazistość. Tekst odwołuje się bezpośrednio do świadomości. Reżyzerskie filtry doświadczenia tego, który odpowiada za ostateczny, sceniczny efekt nie wpływają na wymowę, na konkretyzację. Jest w tym aspekcie widowisko teatralne zbieżne (co do mechanizmu) z poezją obcojęzyczną zanikającą w tłumaczeniu. Efekt końcowy to jednak w przypadku liryki kreatora tłumacza, w przypadku widowiska kreacja reżysera i aktorów. Nagi tekst natomiast pozostaje w pełni autorską wizją dramaturga. Stwarza okazję do zanurzenia się w strumieniu świadomości piszącego, pozwala na dyskurs z jego widzeniem, jego intencjami. Eksploatując do końca wątek reżyzerskiego strumienia świadomości, z którą obcować może odbiorca-czytelnik, warto odwołać się do jednej z teorii opisującej tekst dramatyczny w kategorii struktury informacyjnej. Wówczas dramat pisany i czytany to sztuka zyskująca nowe tworzywo - komunikację. W istocie sztuka dramatyczna modeluje rzeczywistość. Powstające modele są pełnoskalowe, co ułatwia ich dalszą analizę. Z niej zaś wypływają wnioski dotyczące katalogu zachowań jednostki ludzkiej biorącej udział w procesie masowej komunikacji.

Teatr byłby zatem grą w komunikację, tekst komunikacją czystą. Ivo Osolobe analizując teorię dzieła dramatycznego jako hierarchiczną strukturę komunikacyjną wpływającą z teorii Otokara Zicha, wskazuje na specyficzne tworzywo sztuki dramatycznej, której celem fundamentalnym jest komunikowanie. Podstawą tego procesu jest natomiast płaszczyna językowa, ściślej dialog pomiędzy postaciami dramatycznymi. Jak stwierdza Osolobe "to, co ma znaczenie nie tylko dla słowa mówionego i żywego opowiadania, ale także dla języka pisanego, który modeluje w >>mowie niezależnej<< słowo za pomocą słowa, ma w dialogu jakąś ukrytą możliwość modelowania dramatycznego. Ta

ukryta możliwość wybuchu, skoro zaczynamy czytać język pisany (nawet w myśli)"¹. Czyż nie eksploduje w świadomości tragiczny wątek ojca poświęcającego kilka lat życia na wytropienie bandyty, który napadł i zamordował jego syna, gdy ten beztrząsco odpoczywał w parku, jeżdżąc na rowerze? Czy nie eksploduje w myśli dialog ofiary i oprawcy? Ofiary, która przed wyrównaniem rachunku krzywd uświadamia zwyrodniałcowi, w jaki sposób zniszczył szczęście całej rodziny w kilka zamoczonych alkoholem chwil? Tego trzeba doświadczyć w samotności obcując z tekstem. Intencja Pawłowskiego zdaje się wyjaśniać. Porno to nie tylko wulgarna seksualność,

to obnażanie cierpienia, jego ukazywanie, przybliżanie. W dobie wirtualności i samozadowolenia, podobne działania rzeczywiście mogą zostać uznane za niesmaczne i ignorowane. Rzeczywistość upomina się na szczęście o należne jej miejsce, miejsce w świadomości rozumnego, nieogłuszonego szumem informacyjnym odbiorcy.

Miłosz Babecki

Pokolenie porno i inne niesmaczne utwory teatralne. Antologia najnowszych dramatów polskiego w wyborze Romana Pawłowskiego
red. Henryk Sułek
Wyd. Zielona Sowa, Kraków 2004.

1 Ivo Osolobe, Dzieło dramatyczne jako hierarchiczna struktura komunikacyjna (Wariacje na temat definicji dzieła dramatycznego Otokara Zicha), przeł. Halina Próchniewicz, W: Teatrologia czeska. Antologia. Wybór, wstęp i opracowanie Eleonora Udalska, Katowice 1981, s. 235.

RECENZJE

Bernadetta Darska

Głos wykluczonych

Książka Ervinga Goffmana "Piętno. Rozważania o zranionej tożsamości" otwiera nową serię Gdańskiego Wydawnictwa Psychologicznego zatytułowaną "Jednostka - Kultura - Społeczeństwo". Bardzo mocną i bardzo ważną książkę wybrano na premierę. Niezwykle istotny wydaje się fakt, że tłumaczenie "Piętno" ukazuje się u nas z dość dużym opóźnieniem od czasu, gdy książka ukazała się po raz pierwszy (mija prawie ćwierć wieku - sic!), ale jej idee nie tracą nic ze swej aktualności. Co więcej, trafiają na podatny grunt i odczytywane mogą być w kontekście tego, co ostatnio absorbuje polską opinię publiczną, a mianowicie kwestii Marszu Równości i związanej z nią problematyki wykluczenia. Jak czytamy we wstępie autorstwa Joanny Tokarskiej-Bakir: "Badaczowi udaje się przywołać atmosferę klaustrofobii towarzyszącej wykluczeniu, a zarazem pokazać ludzką twarz piętna - różnicy, która jakkolwiek raniąca czy destrukcyjna, zarazem jest czymś, co stawiając jednostce opór, wyciska na niej piętno indywidualności".

Goffman sytuuje problematykę piętnowania inności w kontekście budowania tożsamości, kształtowania jej wyznaczników i uznawania pewnych cech nie tylko za charakterystyczne, ale przede wszystkim za normalne. O piętnie można bowiem mówić nie tyle

w kontekście cechy jako takiej, która ma - jak pisze autor - charakter dotkliwie dyskredytujący, ale w kontekście języka relacji. Bo właśnie w kontakcie z drugim człowiekiem bądź grupą tworzy się to, co określamy jako "nasze, normalne" i "inne, obce". Dana cecha staje się zatem piętnem dopiero w kontekście, w relacji, sama w sobie ma wszelkie znamiona tego, by pozostać cechą neutralną.

Erving Goffman wyróżnia trzy rodzaje piętna: "Po pierwsze brzydotę cielesną, czyli rozmaite drformacje fizyczne. Po drugie wady charakteru przypisywane słabej woli, nieujarzmionym bądź nienaturalnym namiętnościom, niebezpiecznym lub dogmatycznym przekonaniom oraz nieuczciwości, o których to wadach wnioskuje się na podstawie takich faktów, jak na przykład zaburzenia psychiczne, pobyt w więzieniu, nałogi, alkoholizm, orientacja homoseksualna, bezrobocie, próby samobójcze albo też radykalne zachowania polityczne. Trzecią odmianą piętna są grupowe piętna rasy, narodowości i wyznania, przekazywane z pokolenia na pokolenie i nakładające jednakową skazę na wszystkich członków rodziny" (s. 34). Piętno opisane przez Goffmana ma zatem charakter specyficznego negatywnego sygnowania społecznego. Ten, kto je nosi, zostaje naznaczony, a za tym idzie sprowadzenie na margines,

wykluczenie, konieczność udowodnienia, że jest się normalnym, a jednocześnie ciągłe próby przezwyciężenia własnej inności, bycia gorszym i "skażonym".

Człowiek napiętnowany występuje od samego początku z pozycji osoby potencjalnie przegranej, bowiem właśnie klęski - a więc potwierdzenia słuszności piętna - oczekuje od niego społeczeństwo. Goffmanowi udaje się doskonale oddać klimat zaszczucia i lęku, jaki towarzyszy życiu tych, których dotyczy piętno. Strach bywa równie dotkliwy wtedy, gdy napiętnowana cecha jest od razu widoczna, jak i wówczas, gdy człowiek lęka się, że dana cecha zostanie ujawniona.

Noszenie piętna to w opisie Goffmana uczenie się pewnej roli społecznej, a zarazem poddawanie się procesowi socjalizacji.

Człowiek napiętnowany uczy się nie tylko, jak żyć z piętnem, ale też jak je zaakceptować, oswoić, jak sobie z nim radzić i jak próbować nadać mu pozytywne znaczenie. Przy czym istotny jest fakt, że piętno możemy nabyć właściwie w każdym etapie swojego życia. Jak pisze autor: "Jedną z głównych życiowych możliwości nosiciela piętna jest praca nad tym, by wśród normalnych zachowywać się tak, jakby

jego widoczna odmienność była w rzeczywistości nieistotna i niezauważona" (s. 76). Zwraca też uwagę na istotną kwestię względności przekazywanej informacji w zależności od wiedzy i przekonań osób, do których ona dociera.

Goffman wskazuje również na różne strategie radzenia sobie z własnym piętnem. Jedni uczą się akceptacji, ujawnienia, inni stawiają na agresję w kontakcie z drugim człowiekiem, jakby uprzedzając jego potencjalną niechęć, bądź też występują niezwykle agresywnie wobec innych osób, także napiętnowanych.

Przychodzi w tym miejscu na myśl przykład kobiet będących obrończyniami życia i poczętego. Często najzacieklejszymi wrogami aborcji są te kobiety, które same na aborcję się zdecydowały (pisze o tym Kazimiera Szczuka w "Milczeniu owieczek"). Zatem wypierając własne piętno, atakują piętno innych, lekając się własnego wykluczenia, skazując na wykluczenie innych.

Niewątpliwą zaletą pisarstwa Goffmana jest eseistyczny styl wypowiedzi, a także bogate zobrazowanie swoich wywodów konkretnymi przykładami. Dzięki temu piętno, poddawane wszak analizie socjologicznej, nie staje się martwym, zupełnie abstrakcyjnym problemem akademickim, lecz pokazane jest jako



coś, co nas dotyczy, co jest obok nas, na co patrzymy często z dystansu, ale czego sami możemy doświadczyć. Goffman bardzo mocno zaznacza fakt, że proces zaistnienia piętna bywa zazwyczaj procesem świadomej stygmatyzacji drugiego człowieka. Jak aktualnie i prawdziwie to brzmi, wystarczy odwołać się do polskiej rzeczywistości, gdzie takie słowa jak liberał, feministka, socjalista, homoseksualista dyskwalifikuje i piętnuje (pisała o tym swego czasu Kinga Dunin). Piętno staje się zatem bronią polityczną. Tym bardziej groźną, że opartą na uprzedzeniach, stereotypach i niechęci/nienawiści. "Piętno" Goffmana to książka obnażająca procesy stygmatyzowania, a jednocześnie książka-ostrzeżenie. Bowiem jest tylko kwestią umowy społecznej, co zostanie uznane za normalne, a co poddane zostanie marginalizacji. Piętnowanie to zawsze rodzaj relacji, zatem w co przerodzi się stygmatyzacja zależy tylko od jej uczestników. Sztuką zatem i jednocześnie podstawą demokracji jest przewartościowanie

piętna i skojarzenie go z szacunkiem dla inności, z pozytywnym nastawieniem do obcości, z tolerancją i z uznaniem prawa do istnienia różnorodności.

Bernadetta Darska

Erving Goffman,
Piętno. Rozważania o zranionej tożsamości
przeł. Aleksandra Dzierżyńska
Joanna Tokarska-Bakir
Gdańskie Wydawnictwo
Psychologiczne, Gdańsk 2005

RECENZJE

Dariusz Szymanowski

Obnażanie Hybrydy, czyli Beksińskiego portret własny

Nigdy nie lubił wernisaży, wszelkich promocji, wystaw, bankietów ku czci i z okazji. Bezpośredni, miejscami złośliwy, ironiczny, dla niektórych jawił się jako mizantrop i człowiek zgryźliwy. Postrzegany jako milioner. Przez swych krajan, jak sam pisał, sytuowany gdzieś między Kulczykiem a Billem Gatesem. Przy tym wszystkim niezwykle skromny. Niecierpiący drobnostek, świąt i kłamstwa dyslektyk, który nawet w swoim nazwisku potrafił zrobić trzy literówki. Skryty sadomasochista, pesymistycznie oceniający przyszłość człowieka. "Gust prymitywny" - jak zwykły sam o sobie mówić.

Taki portret znanego malarza Zdzisława Beksińskiego wyłania się nam z jego korespondencji mailowej z Lilianą Śnieg-Czaplewską, dziennikarką dwutygodnika "VIVA!". Szokujący? Dla przeciętnego miłośnika sztuki z pewnością. Beksiński był człowiekiem skrytym, tylko czasami stwarzał

pozory otwartości. Nie dawał zbyt wielu okazji do poznania dla rozlicznej publiczności, jaką posiadał niewątpliwie na całym świecie. Należałoby w tym miejscu przypomnieć, iż jako jedyny Europejczyk ma stałą ekspozycję w Muzeum Sztuki w japońskiej Osace.

Książka pod tytułem "Bex@. Korespondencja mailowa ze Zdzisławem Beksińskim", zwróciła moja uwagę nie tylko z powodu, iż dzieła tego artysty są szczególnie bliskie moim malarzskim upodobaniom, ale również ze względu na formę opublikowanej korespondencji. Oto mamy do czynienia, nie jak to zwykle bywało ze zbiorem listów znanych postaci w wersji "analogowej" (kartka papieru, koperta, znaczek, jednym słowem tradycja "pełną gębą"), ale ze zbiorem e-maili, jakie wysyłał do siebie Beksiński i Śnieg-Czaplińska. Książka ta to jednocześnie dowód na to, że nowoczesne formy komunikowania wkraczają także do literatury. Jedno jest pew-

ne, wraz z rozwojem techniki współczesna literatura, szukając oryginalnej formy przekazu, coraz częściej będzie sięgała po środki wyrazu wywodzące się z internetu, multimediiów etc. Oczywiście nasuwa się tutaj pytanie, czy książkę Liliany Śnieg-Czaplewskiej możemy uznać za literaturę? Myślę, że tak, a przynajmniej w takim sensie, w jakim za literaturę uznawane są takie pozycje jak między innymi "Zbigniew Herbert, Jerzy Turowicz. Korespondencja", czy choćby "Korespondencja Simone Weil z Robertem Schumanem".

Zbiór, a może raczej wybór korespondencji Beksińskiego z dziennikarką popularnego dwutygodnika dla pań, dotyczy dwóch ostatnich lat życia malarza. Zmieszczony na 220 stronach książkowej wersji, stanowi w dużej mierze wybór listów jednego autora, tytułowego Bexy. Listy jego korespondentki, to zaprawdę niewielka część tego wydawnictwa. W związku z czym nie mogę oprzeć się pokusie, iż PIW (jako wydawca), a w największym wymiarze główny sprawca ukazania się tej korespondencji drukiem, czyli Liliana Śnieg-Czaplewska, popadli w chwijny narcyzm, przyznając (co widać już na okładce) autorstwo tej publikacji tylko i wyłącznie dziennikarce. Sam Beksiński występuje tu tylko jako tytuł, co mnie osobiście zastanawia. Byłbym więc skłonny poszukać innej konwencji, dla zobrazowania w tytule relacji pomiędzy dziennikarką a malarzem.

Starannie wydaną książkę, opatrzoną zdjęciami, reprodukcjami Beksińskiego (choć tych wtrąconych w tekst jest niestety niewiele) z największą umieszczoną na okładce, czyta się z typową dla człowieka ciekawością, jaka dotyczy w tym wypadku życia prywatnego znanej postaci. Lektura z e-maila na e-mail, staje się coraz bardziej interesująca. Beksiński, szkicujący swój autoportret przy pomocy internetowej poczty, jawi się nam jako swoista hybryda. Podwójna osobowość, choć nie należy jej wiązać z jakąkolwiek psychiczną chorobą. Jeśli ktoś miał wcześniej w swym życiu styczność z dziełami tego malarza lub choćby odwiedził jego oficjalną stronę internetową, "uzbrojoną" w tajemniczą muzykę Zbigniewa Preisnera, to w trakcie czytania tej książki dojdzie do wniosku, że malarz

wyłaniający się ze swoich obrazów, ukazujących destrukcję, nekrofilie, a to wszystko na podbudowie - jak sam pisał - standardowych tematów (twarz, krzyż, postać), to zupełnie inny człowiek, niż ten który pisze w listach (e-mailach) do Czaplewskiej o swoim obrzydzeniu do kontaktów cielesnych, o próbach ucieczki przed konwencją, o tym, iż "istnienie sprawia mu największą możliwą frajdę". Hybryda, tak, to chyba najlepsze określenie jego postaci. Wielki żal, iż dopiero po wydaniu tej korespondencji, już po jego bezsensownej śmierci, nauczymy się kontemplować dzieła artysty, nie spekulując na temat jego rzekomej permanentnej depresji, prawdopodobnych skłonności samobójczych, jakie to niby miał w genach odziedziczyć po ojcu syn malarza, Tomasz Beksiński.

To książka w dużej mierze autobiograficzna. Warta jest przeczytania, nie tylko przez ludzi których twórczość Zdzisława Beksińskiego pociąga. Roi się w niej od zabawnych anegdot i wspomnień, a to o tym, dlaczego Matka Boska musi być Polką, a jej syn Jezus musiał urodzić się na Podkarpaciu, a to znów o tym, dlaczego ludzie dzielą się albo na "przelotne ptaństwo" albo "rośliny doniczkowe" i jak w końcu wygląda "erotyzm po polsku". Korespondencja mailowa Liliany Śnieg-Czaplewskiej ze Zdzisławem Beksińskim nasycona czarnym humorem, wydobywająca postać wielkiego malarza z niewiedzy zbiorowej świadomości, idealna pozycja na wolny wieczór.

Zakończę, jak to miał w zwyczaju żegnać się w swych e-mailach Beksiński: "Pieprzyć wszystko. Pięknie się kłaniam".

Dariusz Szymanowski

Liliana Śnieg-Czaplewska
Bex@. Korespondencja mailowa
ze Zdzisławem Beksińskim
PIW, Warszawa 2005.

Hańba obrazoburcy!

Nie potrafię się śmiać z Wielkiej Wojny Ojczyźnianej. Za tym terminem kryje się nie tylko (tak chętnie dziś podkreślana - nie mnie to oceniać) "propaganda radziecka", obecnie - "rosyjska", ale też mnóstwo zwrotów, których głębia semantyczno-emocjonalna powoduje (po prze-myśleniu sobie pewnych spraw) chęć utraty przytomności.

Oblężenie Leningradu. Zażęcie - przemarsz wojsk - śmierć, gwałty, grabieże - na terenach obecnej Litwy, Łotwy i Estonii. Okrucieństwo. Oblężenie Smoleńska. Głód-kanibalizm. Morderstwa. Zdobycie i splądrowanie Kijowa. Mróz. Bitwa pod Moskwą. Bitwa pod Stalingradem. Pomnożenie całego okropieństwa, smrodu i zła wojny przez miliony jednostek, których to dotknęło. Powtórne pomnożenie do potęgi milionowej - nie sposób inaczej zmierzyć głębokości i długotrwałości ludzkiego cier-

pienia. I jeszcze mnożenie przez miliony członków rodzin wojennych. Miliony skrzywionych i złamanych dzieciństw. Roztrzaskanych o bruk niemowląt. Zgwałconych i rozszarpanych dziewczynek, kobiet i staruszek. Miliony kalek i szaleńców. Miliony...

Pamiętam z dzieciństwa filmy i reportaże - wtedy jeszcze telewizja nie wstydziała się tej obecnie niepoprawnej politycznie tematyki - w tle Chór Aleksandrowa i melodia "Jasny Dzień Zwycięstwa". Nie ma sensu rozważać, na ile i jak Wielka Wojna Ojczyźniana była zmiotologizowana - wystarczą znane fakty i badania.

Nie jestem patriotką - i wstydzę się tego. Nie jestem socjalistką, raczej gdybym mogła, weszłabym z głową w drapieżny świat kapitalizmu - i nie miałabym litości. Ale nie potrafię się śmiać z ZSRR 1939-1945. Tak jak nie potrafiłabym się śmiać z

głodu na Ukrainie. I z katastrofy "Gustloff". I z Dywizjonu 303. I powstańców warszawskich. I ze współczesnej wojny irackiej. I z wojny koreańskiej czy wietnamskiej. Ani z farsy na temat 15-letniej żołnierskiej zabawki seksualnej - dziewczynki uratowanej z oblężonego Leningradu - czyli z historii opisaną przez Michała Kononowa pt. "Goła żołnierka". Mierzi mnie nie tyle temat, ile sposób podawczy - stylizacja ni to staropolska, ni to kresowa oraz właściwości książki - rubaszna dosadność, nawet trudno mówić, że kawalerska... Gdybym chciała ugiąć karku i zasad, natychmiast doszukiwałbym się odniesień do "Szwajka" albo nawet do Franka Dolasa z "Jak rozpętałem II wojnę światową". Udowodniłabym, że to prześmiewcza parafraza seksualna "Czterech pancernych..." i legendy o Stirlitzu. Ale nie mogę tego zrobić. To nie jest "bolesna satyra", "śmiesz przez łzy", "wyrzucenie wewnętrznej traumy pisarza", czy "groteska realizmu absurdałnego" - jak próbują sugerować niektórzy recenzenci. NIE! "Goła pionierka" to brudny śmieć. Nie czytajcie tego. To smutne. To niepraw-

da. To chore. To nas obraża. Z pewnych spraw się nie żartuje.

Anna Rau

Michał Kononow,
Goła pionierka, czyli tajny rozkaz generała Zukowa
przeł. Jan Gondowicz,
Wyd. W.A.B., Warszawa 2005.

SZKICE

Bernadetta Darska

Szwaja: odsłona piąta, czyli dylematy szczęśliwej matki i żony

Monika Szwaja to jedna z czołowych przedstawicielek Owocowej Serii wydawnictwa Prószyński i s-ka. Co prawda nazwa serii wzięła się od książek Izabeli Sowy, faktem jednak pozostaje, że to Szwaja wiedzie prym i że to Szwaja stała się jedną z najciekawszych i najbardziej wyrazistych autorek polskiej popularnej powieści kobiecej. "Artystka wędrowna" to druga książka autorki opublikowana w tym roku, a w ujęciu chronologicznym książka piąta. Należy ją też traktować jako ciąg dalszy historii rezolutnej dziennikarki szczecińskiej telewizji, Wiktorii, która w "Zapiskach stanu poważnego" zachodzi w ciążę, rodzi dziecko, poznaje mężczyznę swojego życia, decyduje się go poślubić, a w "Artystce wędrowniej" konsumuje rodzinne szczęście i perypetie dnia codziennego. Wydawca sygnalizując na okładce książki, że Wikтория w "Romansie na receptę" wychodzi

za mąż, sugeruje, że jest ona bohaterką także tej książki. Tymczasem sugestia to nieprawdziwa, bo Witoria w "Romansie na receptę" pojawia się jedynie jako postać epizodyczna. Swoją drogą, warto byłoby zwracać uwagę na to, by tego typu mylne sygnały nie pojawiały się akurat na okładce. Przypomnijmy, "Romans na receptę" to historia Eulalii, także dziennikarki telewizyjnej, rozwiedzionej, matki nastoletnich bliźniaków, która uwielbia góry i, owszem, poznaje mężczyznę swojego życia, ale o imieniu Janusz. Tymczasem Wiktorii, bohaterka "Zapisków..." i "Artystki wędrowniej", jest matką jednego syna, małego Macusia, a jej idealny mężczyzna raczej mało ma wspólnego z górami, bardziej z morzem, i na imię ma Tymon. Tyle więc gwoli wstępu i uporządkowania. Ale do rzeczy...

Niewątpliwą zaletą pisarstwa Moniki Szwaji jest jej poczucie humoru i umiejętność zdys-

tansowania się. Patos miłości i nienawiści, zdrady i podejrzeń, u innych śmieszny i patetyczny, u Szwaji zostaje rozbity żartem, paradoksem i sympatią do wymaginowanych często bolączek bohaterek. Oprócz więc umiejętności budowania historii z tego, co niekoniecznie niesamowite, niezwykle, ale właśnie codzienne, oczywiście, przede wszystkim humor powoduje, że powieściom Szwaji daleko do harlequinów i romansowych produkcyjniaków, jakich wiele w tzw. literaturze kobiecej.

Tym razem Monika Szwaja świetnie portretuje zagrożenia czyhające na młodą matkę i żonę. Pokazuje stereotypy, wywołuje śmiech, ale i chwilę zastanowienia. Mamy więc "życzliwe" koleżanki, które sugerują, że mężczyzna, którego żona decyduje się także pracować, jest nieszczęśliwy. Dlaczego? Bo nie ma obiadków i ciepłych kąpi podawanych przy wejściu. Mamy inne życzliwe osoby, które usiłują mówić młodej matce, że pójdzie do pracy, to krok przeciwko dziecku, a matka winna pełnić jedynie role usługowe wobec wspomnianego męża i dziecka. Mamy też atrakcyjną przyjaciółkę, która stanowić ma

potencjalne zagrożenie... Szwaja pokazuje jednak, że miłość i partnerski związek nie polegają na sprowadzeniu kobiety jedynie do roli pani domu i opiekunki wiadomo jakiego ogniska, że szczęśliwa kobieta to kobieta zrealizowana także na polu zawodowym, że szczęśliwy związek to wspieranie swoich pasji, zaufanie, szacunek i miłość.

Wiktorii, bohaterka "Artystki wędrowniej", szamocze się pomiędzy własną wizją życia a stereotypową rolą kobiety, jakiej oczekuje od niej społeczeństwo. Szwaji udaje się pokazać, że nagromadzenie myśli spod hasła "co powiedzą inni?", niesie tylko kłopoty, że podejrzania, których człowiek nie stara się potwierdzić bądź rozwiać rozmową, wiążą się tylko ze zbędnymi i często wymyślnymi problemami. I choć bohaterowie książki Szwaji przeżywają szereg różnych perypetii, codziennych radości i kłopotów, o których może i warto byłoby choć odrobinę wspomnieć, nie to jest najważniejsze. Nie najważniejszy jest też fakt skorzystania przez Szwają z popularnej ostatnio epistolarnej formy powieści - o ile w "Statecznej i postrzelonej" mieliśmy relacje w formie fragmentów pamiętników

bohaterek, tutaj mamy wersję nowoczesną, a mianowicie wymianę maili.

Najistotniejszy wydaje się bowiem fakt, że Szwaja nie sobie nie robi z typowego szablonu powieści kobiecej. Opisuje kobietę współczesną, ale wyzwoloną. Uwikłaną w walkę pomiędzy swoja pasją a przekonaniem o tradycyjnej roli kobiety. Pełną wątpliwości, ale decydującą o sobie w taki sposób, aby spełnienie przynosił nie tylko mężczyzna i ewentualne dziecko, lecz także samorealizacja, osiągnięcie postawionych sobie celów. Dlatego gdyby wykorzystać slogan reklamowy wydawnictwa Prószyński i s-ka o “książce niezwyklej” i o zapisie codziennych perypetii kobiety “mężatej i dzieciatej”, i o “wesolej i ironicznej opowieści o tym, jak być kobietą i wytrzymać ze sobą”, nie należy się on z pewnością słabej i stereotypowej

powieści Magdaleny Kordel (a z okładki jej książki powyższe slogany pochodzą). Należy się za to Monice Szwaji! Przede wszystkim dlatego, że z popularnej powieści kobiecej zrobiła dobrą popularną powieść kobiecą. Warto więc czekać na to, co jeszcze wymyśli Monika Szwaja. Poczekajmy więc, co jeszcze Szwaja napisze.

Bernadetta Darska

Monika Szwaja,
Artystka wędrowna,
Wyd. Prószyński i s-ka,
Warszawa 2005.

RECENZJE

Tomasz Wojnarowski

Zły Ben zabija dobrego psa, czyli moralitet o nowym odmieńcu

“Piąte dziecko” Doris Lessing to druga powieść tej angielskiej pisarki po “Pokoju nr 19” (1966) wydana w Polsce. Mimo, że książka ujrzała światło dzienne w Anglii już w 1988 roku, to u nas ukazała się dopiero teraz. Trochę to zastanawiające... Lessing, jedna z najbardziej znanych pisarek Wysp Brytyjskich, od wielu lat nominowana do literackiej nagrody Nobla, w naszym kraju jeszcze do niedawna znana była zaledwie z jednej powieści. Na szczęście Państwowy Instytut Wydawniczy postanowił zmienić tę sytuację. Proszę się jednak nie obawiać, a tym bardziej nie zniechęcać - “Piąte dziecko” nie jest jakimś przeterminowanym produktem. Książka została wprowadzona na polski rynek dzięki nowej serii wydawniczej - “Spojrzenia”. W jej ramach ukazują się utwory tworzone przez współczesne pisarki żyjące w różnych stronach świata. Jak można przypuszczać, książka Lessing cieszyła się tak dużym zainteresowaniem, że PIW postanowił pójść za ciosem i wydać także kontynuację “Piątego dziecka” zatytułowaną “Podróż Bena”. W ten sposób próżnia związana z twórczością pani Lessing została wypełniona, a polski czytelnik dostał do ręki godną uwagi dylogię.

“Piąte dziecko” Doris Lessing z pozoru nie wymaga wielkiego skupienia od odbiorcy, a to ze względu na przyjętą koncepcję współczesnego moralitetu. Nieskomplikowany motyw przewodni, czytelne typy bohaterów i łatwy do przewidzenia ciąg zdarzeń sprawiają, że “Piąte dziecko” można przeczytać podczas podróży pociągiem czy przy sobotnim porannym kubku kawy. Główni bohaterowie tej niewielkiej objętościowo książeczki, Dawid i Harriet, poznawszy się na jednym z firmowych przyjęć, wkrótce pobierają się i kupują wymarzony dom. Ich pomysł na szczęśliwe życie polega przede wszystkim na spłodzeniu gromadki dzieci, które swoim śmiechem i zabawą wypełnią zamieszkałą przestrzeń. Ta polityka prorodzinna ma być wyrazem protestu skierowanym przeciwko znajomym Dawida i jego żony, którzy już na początku swojej kariery wybrali model rodziny: dwa plus jeden, tak jakby ich wybór dotyczył marki samochodu czy koloru mebli przeznaczonych do pokoju gościnnego (“[...] zamierzali mieć dużo dzieci. Oboje nieco wyzywająco, z uwagi na wielkie oczekiwania wobec przyszłości, oznajmili, że <nie mieliby nic przeciwko> duże

liczbie dzieci”). Na świat kolejno przychodzi Łukasz, Helena, Janeczka i Paweł. Każde nowe dziecko od samego początku, kiedy jeszcze Harriett nosi je w swoim łonie, obdarowywane jest wielką miłością. Do domu, w którym życie daje tak piękne świadectwa swojej niepowtarzalności, co roku na Święta Bożego Narodzenia przybywają kuzyni, wujkowie i dalecy krewni - wszystkich tych ludzi przyciąga jak magnes atmosfera wzajemnej miłości i rodzinnego spełnienia. Idylla nie może trwać jednak wiecznie, mieszkańcy szczęśliwego domu zostają wystawieni na próbę. Pewnego dnia Harriet oznajmia mężowi, że wkrótce mogą spodziewać się kolejnego dziecka: “Fakt ten przygnębił zarówno ją, jak i Dawida. Jak to się mogło stać? Tak bardzo uważali, zwłaszcza że postanowili przez pewien czas nie mieć więcej dzieci”. Z pozoru nic złego się nie stało. Przecież oboje pragnęli mieć nawet sześcioro dzieci. Jednakże piąta ciąża przebiegała zupełnie inaczej. Przyszła matka każdego dnia płakała i zaciskała zęby z bólu... Kolejny potomek nie dawał jej bowiem chwili wytchnienia, tak jakby chciał wyostać się natychmiast na świat. Przyczynała się, a potem uderzał w brzuch swojej karmicielki, raniąc ją dotkliwie. Chwilową ulgę przynosiły leki, które Harriet zażywała z nadmierną gorliwością licząc po cichu na to, że dziecko być może umrze. Emocjonalna więź między matką a dzieckiem nie została zawiazana. W końcu na świat przychodzi Ben, dziecko znienawidzone przez swoich rodziców w momencie samego poczęcia. Chłopiec zostaje odrzucony przez rodzeństwo i pozostałą część rodziny. Odtąd wszyscy mieszkańcy domu będą go skwapliwie unikać, a w czasie świąt nikt nie zechce już przyjechać do tego nieszczęśliwego domu. Piąte dziecko jest bowiem odmieńcem tak pod względem fizycznym, jak i psychicznym. Tak bynajmniej zostaje ono przedstawione czytelnikowi - pamiętajmy jednak, że ową ocenę wyraża matka, ta która przez dziewięć miesięcy marzyła o poronieniu. W chwili narodzin dziecka, Harriet określi swego syna jako “trolla”. Ale czy nad wyraz rozwinięte mięśnie Bena, gęstsze owłosienie, mocniejszy zgrzyz i dziwne spojrzenie usprawiedliwia tak jednoznaczny osąd? Na kolejnych stronach historii opowiedanej przez Lessing obserwujemy dalszy rozwój Bena, jego próby zbliżenia się do matki poprzez agresywne ataki,

złowieszcze spojrzenia, bijatyki z siostrami i braćmi, tak że ci będą chcieli jak najszybciej opuścić dom i nigdy już do niego nie powróci. Ben będzie nawet próbował stać się częścią życia rodziny, ale jego usiłowania polegające na naśladowaniu zachowań starszych braci spotkają się jedynie z kpina i szyderstwem. Wtedy zostanie już tylko agresja. W końcu Harriet daje za wygraną i pozwala swojemu mężowi, by ten oddał chłopca do zakładu “dla tego typu dzieci”. To wszystko, co mogą zrobić. Życie wraca do normy. Łukasz i Janeczka znów zasiadają przy kuchennym stole i śmiech znów rozbrzmiewa w domu, który jeszcze do niedawna zdawał się być miejscem nawiedzonym przez samego diabła. Po pewnym czasie Harriet jednak nie wytrzymuje i mimo protestów całej rodziny sprowadza Bena z powrotem. Chłopiec jest odurzony psychotropami i jak się okaże, przez długi okres czasu będzie to jedyny sposób na kontrolowanie dziecka. Dopiero kiedy Harriet pozna Johna, chłopaka od koszenia trawników i przycinania żywopłotów, odnajdzie sposób na uporanie się z niesfornym dzieckiem. Przekazuje opiekę nad Benem ogrodnikowi, który odtąd będzie zabierał chłopca do pubów i na mecze piłkarskie, byle dalej od domu. Świat, który istniał przed narodzinami “trolla”, jednak już nie powróci. Rodzina Harriett i Dawida rozpada się na oczach czytelnika. Czy powodem takiej sytuacji jest Ben? Pewnie tak. Chłopiec odstawał przecież od normy, zachowywał się jak mała bestia, gryzł i kopał. Inność stała się ścianą, o którą rozbiła się cała wspólnota rodzinna. Podczas jednego ze świąt bożonarodzeniowych Ben prawdopodobnie udusił psa, którego przywozila ze sobą siostra Harriet. Czy mały chłopiec faktycznie był do tego zdolny? Zaden z bohaterów nie zaprzeczy temu twierdzeniu, choć obiektywnej postawy w tym wypadku naprawdę trudno się spodziewać. Dla gości wszystko jest jasne. Zły Ben zabił dobrego psa. Jest odmieńcem, to wszystko tłumaczy.

Tego typu bohater jak Ben nie jest nikim nowym w kulturze. Osobnik znienawidzony przez “normalnych ludzi” za swój wygląd czy po prostu sposób bycia, musi przed nimi uciekać tak jak Frankenstein. Pozostaje mu egzystencja na zasadzie cyrkowej atrakcji jak to miało miejsce w przypadku Johna Merricka (bohatera filmu “Człowiek słoń” Davida Lyncha). Potwora

można też uwięzić w niedostępnym miejscu jak Minotaura. Ten ostatni posłużył jako przedmiot rozważań Zbigniewowi Herbertowi. W tomie "Pan Cogito" znajdujemy "Historię Minotaura". I choć pocie chodziło raczej o ukazanie, w jaki sposób ludzie zafalszowują przeszłość, jak rodzi się mit, to chciałbym zatrzymać się przy problemie odmierności owego młodzieńca z nad wyraz wielką głową. Jego "zła natura" objawiła się poprzez odstępstwo od normy. W związku z tym biedny król Minos, jedynie co mógł zrobić, to wybudować dla swojego syna labirynt, a potem sprowadzić mordercę Tezeusza, by ten wykonał brudną robotę. Minotaurowi nie pozwolono żyć, bo był przecież inny. Historia stara

jak świat. To, czego nie rozumiemy, czego nie potrafimy zaakceptować, od tego w najlepszym wypadku odwracamy głowy, albo po prostu niszczymy, skazujemy na śmierć społeczną. Podobnie rzecz ma się z Benem. Jego matka i ojciec pozwolą odejść chłopcu, powędrować w świat, by tam Ben odnalazł podobnych sobie ludzi, jakiś mityczny wymarły gatunek, który zaakceptuje piąte dziecko. Harriet i Dawid okazują synowi wielkie miłosierdzie; tak im się bynajmniej wydaje. Wędrownka Bena przez świat to już jednak zupełnie inna historia.

Ben jest atrakcyjnym dziwolągiem, którego zaakceptuje jedynie John, podobny odszczerpieniec jak sam chłopiec. Nikt nie próbował go pokochać, bo

przecież usiłowanie wmówienia sobie miłości nie jest chyba samą miłością? Starano się go wychować jak zwierzątko, które w razie zagrożenia można postraszyć hylem czy zakładem specjalnym. Lekarze niczego nie widzieli. Ich zdaniem Harriet wyolbrzymiała całą sprawę. Nawet nauczycielom zdarzyło się pochwalić Bena! Ale rodzina dobrze wiedziała, kim on jest naprawdę. Małym potworem! Pozorne odstępstwo od normy, inny sposób zachowania i odmieniec gotowy.

Książka Lessing jest smutna i przerażająca. Opowiada o trudnym macierzyństwie, o tym, że wychowywanie dzieci nigdy nie może przerodzić się w rutynę. Jednak przede wszystkim "Piąte dziecko" odkrywa zwyrodnienia

od zawsze drzemiące w ludzkiej naturze: tępą nietolerancję, strach przed innością i zwykle okrucieństwo. Brytyjska pisarka przedstawia nam moralitet o kalcetwie fizycznym i moralnym, o skrzywieniach systemu wartości i destrukcyjnym wpływie braku akceptacji ze strony tych, którzy bezrefleksyjnie powinni przyjąć i pokochać swoje dziecko.

Tomasz Wojnarowski

Doris Lessing
Piąte dziecko
przeł. Anna Gren
PIW, Warszawa 2005

RECENZJE

Miłosz Babecki

Alternatywa dla śnieżącego ekranu

Określenie istoty człowieczeństwa, właściwych jej atrybutów rodzić może trudności. Próba definicji uwzględniać musi wiele zmiennych. Inaczej bowiem skazana będzie na niepowodzenie. Dzieje się tak za sprawą niephamowanej żądzy zdobywania doświadczeń, poznawania rzeczywistości i kreowania nowych światów, jeśli nie z dala od matczynej planety, to na jej powierzchni. Sformułowanie ostatecznej konkretyzacji dziejów ludzkich uniemożliwia również wielowymiarowość bytu człowieka. Tylko on spośród istnień zamieszkujących ziemię zdolny jest do myślenia abstrakcyjnego i tworzenia pojęć. Tylko on tworzy kulturę, systemy norm, reguły, wartości, które następnie determinują jego działania.

Gdy w zamierzonych antycznych czasach wyodrębniono człowieka z natury, wyłowiono go z niej, podkreślono przy tym zdolność rozumowania, tworzenia, kreowania abstraktów, zabawy. Stąd próby definicji wskazujące na wieloaspektowość ludzkiej egzystencji nie doprowadzą do stworzenia jednej formuły, która następnie pomogłaby zbudować matrycę człowieczeństwa. Jest to niemożliwe, bowiem istota ludzka definiowana jest przez pozostające w sprzeczności: sferę emocji, uczuć oraz materię, ciało, upodobanie do tworzenia i kolekcjonowania przedmiotów, ob-

cowanie w ich środowisku. Przy czym już od dawna przedmioty owe nie mają statusu narzędzi. Dziś służą zabawie zaspokajając tym samym jedną z podstawowych potrzeb człowieka - potrzebę rozrywki. Jeśli natomiast wskazać na instynkty i odczucia jednostki, na prosty mechanizm konstruujący naszą naturę determinowaną przez "wrodzone instynkty: strach, głód, seks, złość", wspierane zmysłami wzroku, dotyku, powonienia, słuchu, smaku, okaże się, iż nadrzędnym pragnieniem wielowymiarowego homo sapiens jest "nakarmienie" zmysłów - strawą zaś musi być rozrywka. Z tą już bezpośrednio związana jest powstająca na naszych oczach postwspółczesna kultura. Przestrzeń, z której wyrzucono treści i stojące za nimi wartości przyswajalne tylko przez wąską grupę odbiorców. Rozwinięto natomiast "rynek usług kultury niższej", kolorowej, dostarczającej ulotnych, lecz coraz częściej bardzo silnych, wręcz makabrycznych wrażeń (te o dziwo coraz mniej wzruszają). Dążenia do ich zaspokajania są stale widoczne w angażowaniu sił i środków projektantów postkultury, która zyskuje wobec powyższego wątpliwy status zestawu obiadowego: błyskawicznie podanego, zapakowanego w opakowanie umożliwiające ponowne przetworzenie. Sam produkt zaś mimo

walorów wizualnych nie posiada wartości odżywczych.

Jeśli wobec stwierdzonej wielowymiarowości człowieka, konieczne jest zaspokojenie jego potrzeb, środków owo zaspokojenie umożliwiających szukać trzeba wśród gąszczy podnieć, stymulantów, których powszechność wywołuje frustrujące zagubienie. Odszukanie właściwej drogi umożliwić może swoisty kompas.

Komпасem w tym przypadku być może zbiór esejów "Ekran, mit, rzeczywistość" pod redakcją Wojciecha Józefa Burszty. Drogę symbolizować może szukanie odpowiedzi na pytania, kim jest współczesny człowiek, jakie są jego pragnienia, co dla niego najważniejsze i wreszcie po co mu rzeczywistość empiryczna, skoro generuje nowe cyfrowe światy?

Jeśli dalej eksploatować metaforę drogi, wiodącej przez nieogarnioną kulturą czasoprzestrzeń, konieczne trzeba zwrócić uwagę na cztery strony nowego świata, które wyznacza Burszta. Zabrane eseje zamyka w podkategorii przywodzące na myśl cztery strony świata. Są nimi: "Kłopoty z tożsamością", "Rzeczywistość ekranu", "W sieci cyberprzestrzeni" i w końcu "Codziennosc mitu". Przy czym charakterystyczne jest, iż pierwiastki okalające mają ze sobą wiele wspólnego. Tysiące lat temu nie znaliśmy nawet własnego oblicza, nie posiadaliśmy lustra, które pozwoliłoby ujrzeć nam naszą twarz. Nie znaleźliśmy zatem własnych dusz. Próbowaliśmy jednak odkryć je w słowie. Tak powstały mity, wyjaśniające nasze pochodzenie i tłumaczące

złożoność świata, nieznanego środowiska targanego żywiołami i zależnego od woli bogów. Dziś mit się upowszechnił, stał się codzienny. Czyżby człowiek poznał odpowiedzi na wszystkie nurtujące go pytania? Wprost przeciwnie, wciąż rodzą się nowe. Nauczyliśmy się jednak lepiej, pełniej oddawać rozrywe. Zapominając częściowo o dylematach pochodzenia, narodził się nieuchronnej śmierci.

Mit upowszechnił się przeto, wdzierając się do sfery rozrywki. Tam próbuje odcisnąć swoje piętno. Człowiek zaś wyposażony w instrumenty interaktywne, dowolnie może mit kształtować, dając tym samym wyraz własnym marzeniom. Problematyka ich realizacji podejmowana jest przez wszystkich autorów, których eseje składają się na omawiany tom. Najpełniej jednak tworzenie "mapy genomu" ludzkich marzeń obrazuje rozdział zatytułowany: "Rzeczywistość ekranu".

Boimy się śmierci lub tego, co po niej nastąpi. Dzieje się tak za sprawą uwielbienia naszej ziemskiej powłoki. Dbamy o nią, pielęgnujemy, konserwujemy, naprawiamy, implantujemy i modelujemy. Tak dalece zapamiętujemy się w działaniu, iż wkrótce stajemy przed kolejną obawą - utraty człowieczeństwa. Te kwestie porusza "Schizobajka" Moniki Łukasiewicz, autorki do granic absurdu hiperbolizującej zjawiska popkultury, za którymi stoją "ex kapłani": Cher i Jackson oraz jego laserowe dłonie.

Człowiek pragnie nieśmiertelności, nie jest jednak przygotowany na stojącą za progiem wieczność. W obliczu jej bezmiaru wszystko inne zdaje się być

dziecięcą igraszką. Poza tym jak przez tysiąclecia dbać o cielesność, która przecież wymagać będzie napraw i daleko posuniętych ingerencji chirurgicznych? Na myśl przychodzi hollywoodzka produkcja "Ze śmiercią jej do twarzy" w reżyserii Roberta Zemeckisa (esencja marzeń i jednocześnie koszmarów człowieka obdarowanego upragnioną nieśmiertelnością).

Człowiek boi się śmierci, to jednak nie przeszkadza mu oglądać jej brutalnych aktów. W polowie lat dziewięćdziesiątych niesamowitą popularnością cieszyły się kasety wideo z nagraniem, autentycznymi egzekucjami więźniów skazanych na śmierć, dziś rozrywka są internetowe portale serwujące zbiorowe gwałty na psychice i człowieczeństwie, epatujące obrazami mordów wojennych i często filmowanych czystek etnicznych. Na międzynarodowych wystawach fotograficznych pierwsze nagrody zdobywają zdjęcia ludzi błagających o pomoc w ucieczce z płonącego WTC, a jedna z polskich gazet publikuje na pierwszej stronie zdjęcie zamordowanego w Iraku dziennikarza Waldemara Milewicza.

W człowieku kłębią się zatem sprzeczności. Potrafi on spożywać posiłek oglądając sceny szturm komandosów na szkołę w Białanie. Bojąc się, pragnie jednocześnie bliskości śmierci. Tej jednak, która dotyka innych, "obcych". Ona paradoksalnie znieczula, przygotowuje i oswaja na czekający każdego koniec. Ten sam obserwator ubolewa nad śmiercią ulubionego bohatera filmowego. Odchodzi od ekranu z którego "zdjęto" idola - niezniszczalnego, kuloodpornego. Pragnie coraz to nowych sequeł, w których postać raz uśmiercona zmartwychwstaje. Marzenie musi być nieśmiertelne.

Alternatywnymi dla doznań wizualnych stają się doznania cyberprzestrzenne, niczym substytut życia "namacalnego". W tak zwanym "realu" człowiek pracuje, kocha i jest (może) być kochany, zdradza, uprawia seks, spotyka się z przyjaciółmi, robi zakupy, odżywia się. Dlaczego jednak nie przenieść całej aktywności do przestrzeni wirtualnej. Tam angażuje się wszystkie zmysły bez reszty. W sieci też się kocha, zdradza, nawiązuje kontakty. Przy czym sieć wolna jest od barier rzeczywistości. Doznania docierają do nas całym strumieniem, umożliwiając jednocześnie uwolnienie pragnień i żądz, za które w rzeczywistości grożą sankcje prawne, łącznie z

karą śmierci (w niektórych krajach). W sieci brak reguł: rozrywka, seks, gra - słowa kluczowe i najczęstsze zapytania pojawiające się w wyszukiwarkach. Tu w sieci, ten drżący o nieśmiertelność, lub jak najdłuższe życie człowiek, potrafi mordować z zimną krwią całe zastępy rywali. Ten dbający o ciało, jego spójność i nietykalność rozczłonkuje innych (ciągle wirtualnych) przeciwników. Zatraca się, uwalniając podświadome pragnienia zamknięte w pytaniach: jak to jest zabić?

Wojciech Burszta pyta czy "nasylenie technologią naszego codziennego otoczenia, bytowanie w świecie teleobecności, dominacja obrazu nad słowem to symptomy poważnego zakłócenia mechanizmu normalnego funkcjonowania kultury? Czy czeka nas w rezultacie społeczna samotność? Kłopoty z własną tożsamością, krach prawdziwych więzi społecznych i nieumiejętność komunikowania się z innymi ludźmi twarzą w twarz? A może przeciwnie - przed nami świat otwarty na oścież...?" Odpowiedź na podobne pytanie najlepiej zilustruje estetyka kolorów obecnych filmach, których środowiskiem jest hiperprzestrzeń. Ponura kolorystyka, ciemne i zielone barwy, cała gama odcieni szarości, zwykle towarzysząca deszczowa aura z niebem zasnutym ciemnymi chmurami - czyżby rodził się kolejny mit. Mit współczesności cyfrowej i obawy przed jej nieodkrytymi obszarami.

Opisaliśmy geografię znanego nam świata, okupiliśmy to krwią i wieloma dotkliwymi stratami. Teraz czas na podbój cyberświata - kolejne ofiary, kolejne straty. Czy tego boi się współczesny człowiek? Możliwe, jednocześnie to, co nowe, pociąga. Już teraz funkcjonuje równoległy, jakże dostępny świat .Gwiazdne wrota Rolanda Emmericha zastąpił komputer PC umożliwiający łatwy przeskok do hiperprzestrzeni.

Společna samotność, o której pisze Burszta, grozić może jedynie tym, którzy pozostaną niepodłączeni, będąc w "realu", reszta społeczeństwa, ponownie wielowymiarowa tworzyć będzie nową kulturę, szukać nowych odpowiedzi, prowadzić cyber wykopaliska, szukając prastarych kodów źródłowych ulubionych programów. Jeśli do tego dojdzie, nie będziemy musieli troszczyć się o komunikację, bowiem sami staniami się, być może, komunikacją - czystą myślą, energią mknącą infostradami. Wówczas utrwalona w świadomości baśni literacka nie zaczynie się od słów:

"Dawno, dawno temu, za górami za lasami", tylko dawno, dawno temu przed epoką komputerową lub co gorsza, dotyczyć może sytuacji, w której o rzeczywistości analogowej nikt już pamiętać nie będzie.

Tytułowe pytanie serii "Po co nam rzeczywistość?" może być wówczas równie istotne: po co nam rzeczywistość wirtualna spytają ci w niej zanurzeni, próbując stworzyć kolejny alternatywny świat. Być może to pytanie jest ważne już dziś. Być może analizując współczesne zjawiska kulturowe, antropologiczne, filozoficzne, człowiek nie będzie potrafił nic na ich temat powiedzieć. Stanie wtedy pod murem własnej niemocy, dotrze do granicy poznania, za którą

miejsce znajdzie kolejna z wielu sąsiadujących ze sobą rzeczywistości, tak jak w wyreżyserowanym przez Josefa Rusnaka "Trzynastym piętrze". Zanim jednak pomysłimy o wielości równoległych hiperprzestrzeni, wydostać się musimy z pokoju Gustawa Ichheisera.

Miłosz Babecki

Ekran, mit, rzeczywistość
red. Wojciech Józef Burszta
Wydawnictwo
Książkowe Twój Styl
Warszawa 2003

SZKICE

Sebastian Żurowski

Napisz se recenzję! (Rewolucja, reż. Hugh Hudson)

Reżyser Hugh Hudson ("Rydwany ognia") postanowił rozprawić się z mitem narodzin Stanów Zjednoczonych. "Rewolucja" powstała już dobrych kilkanaście lat temu i bynajmniej nie jest wielkim arcydziełem, ale zdecydowanie w obecnej sytuacji politycznej na świecie jest ciągle aktualna i wręcz zyskuje na wartości.

Narodzinom "kraju wolności" towarzyszyła wojna. Dla Polaków wojna symboliczna - w końcu walczyli tam także nasi bohaterowie: "Kosciuszko" i "Pulaski". Niby wszystko było jasne, bo "dobrzy" Amerykanie (in spe) walczyli tam ze "złymi" Brytolami. Nikt nie podejmował się jakiegoś bardziej krytycznego spojrzenia na Mít Deklaracji Niepodległości i Ojców Założycieli. W kinematografii amerykańskiej zresztą ta wojna nie była mocno wykorzystywana (w przeciwieństwie do np. wojny secesyjnej).

To nie dziwi. Temat niepodległościowy jest trudny, bo w tamtej "rewolucji" bardzo niewiele było dobrego. U Hudsona wszystko jest tragicznie ironiczne, a momentami nawet tragicznie śmieszne. Jedyną dobrą rzeczą było to, że Amerykanie jednak wywalczyli sobie "jakąś" wolność (jej podwaliny). Ale co było potem? Niewolnictwo i eksterminacja Indian. W filmie właściwie nie ma żadnego

wprowadzenia w tło historyczne. W wir wydarzeń trafiamy po prostu wspólnie z głównym bohaterem, który z synem przybija do nadbrzeża nowojorskiego portu. A miasto jest już ogarnięte rewolucyjną gorączką. Na potrzeby armii powstańczej zostaje zarekwirowana - nie bez oporów właściciela - łódź. "Rewolucyjne" władze wystawiają pokwitowanie. Wyplata rekompensaty ma być natychmiastowa, ale to oczywiście mít: Thomas Dobbs (Al Pacino) - i wszyscy inni w podobnej sytuacji - pieniądze otrzymali dopiero po wojnie, a kwota była symboliczna (bo "dolar się zdevaluował").

Utrata łodzi to dopiero początek całej spirali tragicznych wydarzeń. Podstępem do powstańczego wojska zwerbowany zostaje nastoletni syn bohatera. Interwencja ojca nic nie pomaga i aby go chronić, musi również się zaciągnąć. Bitwy są karykaturalne. Brytyjczycy, padając jak muchy, nacierają krokiem spacerowym, a rebelianci po oddaniu kilku salw, uciekają w popłochu. Uciekają z pola bitwy i w ogóle dezertują. Także para głównych bohaterów niehonorowo dezertuje, bo alternatywą jest tylko niewola w bydłych warunkach.

Rozpoczyna się angielska okupacja. Amerykańscy przedsiębiorcy nie myślą już o wolności - myślą tylko o tym, jak zarobić

możliwie najwięcej, a dobry zysk gwarantuje interesy z brytyjską kadrami oficerską. Ci oficerowie są również nakreśleni karykaturalnie: każdy jeden wygląda, mówi i zachowuje się jak pedofil i/lub sadysta. Urządzają sobie np. polowanie na lisa, przy czym "liseum" jest wysmarowana krwią kukła przywiązana do dwóch mężczyzn (jednym z nich jest główny bohater). Ci "ochotnicy" nawet dostają za swoją pracę wynagrodzenie, ale jednego z nich niefortunnie rozszarpują psy gończe. Scenie towarzyszy sympatyczna muzyczka rodem, prawie jak na lordowskim polowaniu w hrabstwie Yorkshire.

A wojna sobie trwa dalej: oficer zapewnia swoich żołnierzy, że za dwa tygodnie

będzie po wszystkim. Po cięciu montażowym pojawia się plansza: "3 lata później".

Film o takiej intencji nie mógł zdobyć dużego rozgłosu i zarobić dużych pieniędzy. Zwłaszcza w Stanach Zjednoczonych. Ameryka lubi kłamstwa i nie lubi prawdy. Niby jest "wolność", ale w końcu zły to ptak, co własne gniazdo kała.

God Bless America!

MADE BY BONK SIKACZ